Opłata pocztowa uiszczona gotówką **Cena 25 gr.**

CZERWONA RÓŻA

Nr. 8 (19) **WARSZAWA, 1 KWIETNIA – 1939 R.** **ROK II (VII)**

TOTALIZM OBRONY

Wojskowym Komisjom Senatu i Sejmu artykuł niniejszy poświęcam.

KTOŚ TU MUSIAŁ SKŁAMAĆ...

Stało to się wszystko nagle i niespodziewanie. Ludzie zdawali sobie sprawę, że musi nastąpić jakiś nowy etap zapowiadanej oddawna i realizowanej konsekwentnie ekspansji, jednakże gdy fakt ten naprawdę nastąpił, wydało się że uderzył piorun z jasnego nieba. Więc jakto? Armia niemiecka okupuje Pragę? Jakto? Słowacja znalazła się pod protektoratem Rzeszy? Jakto? Bez jednego wystrzału, bez próby oporu likwiduje się niepodległość państwa, które posiadało ongiś takie aspiracje?

Przypominano też sobie liczne oświadczenia i obietnice w tej sprawie. Przypominano uroczyste deklaracje, że Rzesza nie ma już żadnych terytorialnych aspiracyj w Europie, że doktryna narodowo-socjalistyczna nie pozwala na wchłanianie do organizmu niemieckiego żadnych obcych narodowości, że III Rzesza ofiaruje uroczyście pokój i przyjaźń wszystkim swoim sąsiadom. A tu raptem okazało się, że wszystkie te oświadczenia nie mają żadnego znaczenia, że nikogo do niczego nie zobowiązują, i że rozwój wypadków potoczył się w kierunku idealnie odwrotnym. Ktoś tu więc musiał skłamać w sposób całkiem ordynarny...

PRAWO DŻUNGLI I PARASOL W BUTELCE

Reakcja świata na te wydarzenia była jak wiadomo — dość jednolita. P. premier Chamberlain przyznał się z rozbrajającą szczerością, że został nabity w butelkę wraz ze swym parasolem. Lord Halifax użył w Izbie Gmin wyrażenia, że Prawo Narodów zostało brutalnie zdeptane i że zapanowało w Europie nieosłonięte żadnymi pozorami prawo dżungli.

W publicystyce światowej zaczęto zadawać pytanie, czy z takim kontrahentem, jak Rzesza, można wogóle zawierać jakiekolwiek umowy, czy posiadają jakiekolwiek znaczenie jego podpisy, przysięgi i deklaracje? Zaczęto zadawać sobie pytanie, że gdyby jakiś człowiek prywatny zademonstrował podobny stosunek do swojego własnego słowa, to jakie określenia byłyby w stosunku do niego użyte i czy wogóle byłaby do utrzymania jego pozycja towarzyska? Niektóre dzienniki francuskie udzieliły na te pytania zupełnie niedwuznacznej odpowiedzi, a takie definicje, jak „oszustwo, rozbój i gra fałszywymi kartami" należały do najłagodniejszych.

Co do nas — uważamy że cała ta fala oburzenia łącznie z doborem epitetów oparta jest na zasadniczym nieporozumieniu. Wszystkie bowiem słowa, mające wyrazić ujemne zakwalifikowanie pewnej właściwości lub czynu nie mogą być używane w oderwaniu od obowiązujących w danym środowisku norm etycznych. Jeśli się mówi o kimś „szuler" i wyrzuca się go za drzwi, — to tylko dlatego, że uznaje się za rzecz zdrożną posługiwanie się metodami oszustwa.

Jeśli mówi się o kimś „bandyta" lub „opryszek", przywiązując do tych słów ocenę ujemną, bo tylko dlatego, że w danej społeczności obowiązują przykazania „nie kradnij" i „nie zabijaj". Jeżeli zaś pewna zbiorowość kieruje się w życiu jakimś innym kodeksem postępowania, w którym zasady te nie figurują, to nie można stosować do niej pojęć, zaczerpniętych z innego systemu moralnego.

MIESZKAŃCY MARSA A HONOR.

Żeby wyjaśnić nasze stanowisko, przytoczmy przykład z literatury światowej. Istnieje znana fantastyczna powieść Wellsa, opisująca najazd mieszkańców Marsa na ziemię. Potężni mózgowcy, zamieszkujący sąsiednią planetę, doszli do wniosku, że ich „przestrzeń życiowa" jest za mała, wobec czego pożądliwy wzrok ich skierował się — ku Ziemi. Zbrojni w wiedzę i w jej produkt — narzędzia śmierci, zaczęli wobec tego planowo i metodycznie obmyślać plany najazdu. Mieszkańcy ziemi oddawali się spokojnie swym pracom, gdy z olbrzymią szybkością zaczęły się zbliżać ku ziemi pociski międzyplanetarne. Pierwszy człowiek, który zetknął się z przybyszami po ich wylądowaniu, ujrzał tylko jakieś olbrzymie, ziejące potworną nienawiścią oko, poczem z wnętrza pocisku wysunęło się jakieś tajemnicze pudełko, a po chwili skondensowana energia — prawdziwy „promień śmierci"! — zaczęła siać dokoła pożogę i zniszczenie.

Zachodzi teraz pytanie — czy w stosunku do swych najeźdźców z innej planety byłoby możliwym stosowanie naszych ziemskich kryteriów moralnych? Czy byłoby celowym wysyłanie do nich parlamentarzystów, którzyby apelowali do ich honoru i uczciwości, którzy by zawierali z nimi pakty o nieagresji i t. p.? Wydaje się, że nie — gdyż moralność marsjan jest inna, gdyż ta moralność każe im uważać za dobre to, co my nazywamy grabieżą i mordowaniem. Jedyny właściwy stosunek do nich — to stosunek walki na śmierć i życie.

INTEGRALNY NACJONALIZM JEST KONSEKWENTNY...

Ten jaskrawy przykład pomoże nam do zrozumienia pewnego zjawiska współczesnego. Wymyślania i wyzwiska pod adresem Niemiec nie są rzeczą właściwą, gdyż na ich terenie obowiązuje inny kodeks etyczny. Jest to fakt notorycznie znany, nie tylko nie ukrywany, lecz podkreślany z dumą przez Niemców. Doktryna narodowego socjalizmu opiera się na relatywności norm moralnych: dobrem — weług niej — jest to, co jest korzystne dla narodu niemieckiego, złem to, co przynosi mu szkodę. Na tym właśnie polega Integralny Nacjonalizm, jako doktryna filozoficzna. Na terytorium Niemiec nie obowiązuje Ewangelia Pana naszego Jezusa Chrystusa, lecz nowa biblia niemiecka: „Mein Kampf". Kanclerz Hitler tak pisze np. w tym podstawowym dziele:

> „Podstawowa zasada, jaką winniśmy mieć stale przed oczyma, jest następująca: polityka zagraniczna jest tylko środkiem do osiągnięcia celu, a cel ten polega wyłącznie na tym, ażeby pracować na korzyść naszego narodu. Trzeba wyeliminować bezlitośnie wszystkie względy: partii, religii, ludzkości, krótko mówiąc — wszystkie inne względy jakie by one nie były".

Jakże śmiesznie wyglądają wobec tego ci publicyści, którzy pomstują i rzucają gromy na osobę kanclerza, powołując się na takie pojęcia, jak honor, uczciwość, wierność własnemu słowu i t. p. Od lat całych Niemcy tłumaczą im, że te pojęcia nie mają dla nich żadnego znaczenia, od lat całych kładą im łopatą do głowy, że polityka niemiecka „wyeliminowała bezlitośnie wszystkie względy, jakie by one nie były", a oni wciąż jeszcze się dziwią, względnie udają naiwnych. Z równym powodzeniem mogliby skierować swoje pretensje — do Marsjan...

PODRÓŻ DO KRESU ZŁUDZEŃ

Po ostatnich wypadkach przez prasę wszystkich odłamów przewinęło się czerwoną nicią żądanie, ażeby „wyciągnąć z nich konsekwencje". Pod żądaniem tym, rzecz prosta, podpisujemy się obiema rękoma. Ale jednocześnie zgłaszamy bardzo istotne, jak nam się wydaje, uzupełnienie. To mianowicie, ażeby te konsekwencje były naprawdę konsekwentne. Ażebyśmy, przynajmniej dzisiaj, w obliczu powagi sytuacji, zerwali z naszą ulubioną polityką półśrodków i narzucili sobie żelazną konsekwencję myśli i czynu.

Pierwszą konsekwencją wytworzonej sytuacji byłoby to, ażebyśmy przestali mieć wreszcie jakiekolwiek złudzenie w stosunku do Niemiec i do ich zamiarów. Rozumiemy, że ciężko bywa wyrzec się złudzeń, które żywiło się w ciągu lat całych, że ciężko jest pozbyć się zakorzenionych nałogów myślenia politycznego, że ciężko jest stwierdzić, że budowany mozolnie system leży dziś w gruzach. Ale na to nie ma żadnej rady. Nie myśmy stworzyli fakty dokonane, które sytuację zmieniły do gruntu. Stan rzeczy po 15 marca jest zgoła inny, niż był przed tą datą. Wystarczy tylko stwierdzić, że Niemcy usadowili się na południe od Karpat, że Niemcy szachują Litwę! Czy jest tu miejsce na jakiekolwiek złudzenia, czy wolno wmawiać w siebie, że wszystko to w gruncie rzeczy można było przewidzieć, że to wszystko da się jeszcze jakoś naprawić?...

MOWA W REICHSTAGU CZY KARAMBOL TAKSÓWEK?

Drugą konsekwencją winno być to, ażebyśmy przestali przywiązywać jakiekolwiek znaczenie do układów, podpisów i paktów z Niemcami, ażebyśmy nie zwracali najmniejszej uwagi na wszystkie ich rzekomo najbardziej doniosłe oświadczenia i deklamacje.

Zdobądźmy się w tej dziedzinie na konsekwencję, a przykład niech tu poda polska prasa i radio.

Jeśli więc agencja telegraficzna poda nam, np. tekst mowy tej czy innej osobistości niemieckiej, zamieśćmy ją w skrótach z obowiązku informacyjnego, ale gdzieś petitem w rubryce „różne". W żadnym zaś razie nie na pierwszej stronie i nie dużymi literami. Dajmy wielkimi literami na całą kolumnę wiadomość o meczu piłki nożnej, o urodzeniu się cielęcia z trzema głowami, o zemście uwiedzionej, o karambolu taksówek — byle nie tę mowę. Ośmielamy się bowiem stwierdzić, że wiadomości te posiadają większe znaczenie polityczne, niż wszystkie najbardziej epokowe mowy, obietnice, oferty i deklamacje niemieckie.

Niech tę samą taktykę zastosuje również i Polskie Radio. Istniał u nas dootychczas zwyczaj, że gdy przemawiała przez radio ta czy inna osobistość niemiecka, radiofonia polska transmitowała te popisy, nagrywała na płyty, nadawała przekłady i t. p. Proponujemy obecnie zmienić radykalnie taktykę i podczas przemówień kierowników Rzeszy nadawać tanga, foxtrotty, a jeszcze lepiej — marsze wojenne. Ręczymy solennie, że owa wiązanka marszów będzie posiadała również większe znaczenie polityczne, niż najbardziej patetyczne oferty pokoju, gwarancji granic i wyrzeczenia się wojny.

INTEGRALNY ATAK — INTEGRALNA OBRONA.

I wreszcie — konsekwencja najważniejsza. Jeśli wytworzył się obecnie stan wzmożonego zagrożenia granic, jeśli mówi się po tamtej stronie o Integralnym Nacjonaliźmie, który wszystko rozgrzesza i który wymaga podboju ziem cudzych, jeśli z tamtej strony prowadzi się integralny i nieliczący się z niczym atak — to my zdobądźmy się na niemniej konsekwentną integralną obronę.

Jeśli tam się mówi o totalnej wojnie, wojnie zdobywczej i bezlitosnej — to my zastosujmy przynajmniej totalną obronę. Tak brzmią dzisiaj nakazy chwili, zrozumiałe dla najbardziej opornych mózgów. Chodzi więc o to, ażeby na tym przynajmniej odcinku zerwać z naszym tradycyjnym zamiłowaniem do półśrodków, z naszym „jakoś to będzie", ażeby dziś przynajmniej, pod grozą niebezpieczeństwa, wydać walkę wszelkim złudzeniom i zdobyć się na odwagę przemyślenia rzeczy do końca.

Powiedzmy wyraźnie — chodzi nam o całkowitą **militaryzację Polski, przeprowadzoną** już teraz. Chodzi o to, **ażeby wszystkie siły kraju już teraz były oddane do dyspozycji Wodza Naczelnego.** Chodzi o to, ażeby ta militaryzacja i ta dyspozycja były naprawdę **totalne i integralne**, i ażeby naprawdę całe życie — polityczne i gospodarcze — zostało przeniknięte zasadą **integralnej obrony** .

GOSPODARCZE TABU I „MIEJSCA ODOSOBNIENIA"

Nie sposób opędzić się od refleksji, że ta prawdziwa integralność czeka jeszcze na swą realizację. Gdy widzimy olbrzymie rzesze bezrobotnych na wsi i w mieście, gdy obserwujemy zjawiska marnotrawienia energii narodowej — nie sposób odegnać natarczywej koncepcji, że te napół-głodne i bez-

czynne masy należy ubrać w drelichy, podzielić na bataliony, dać strawę z kotła żołnierskiego i posłać na budowę dróg, względnie innych konstrukcji ziemnych lub betonowych. W ujęciu zaś szerszym — że dojrzało już do rozwiązania w wielkim stylu zagadnienie najbardziej dziś kapitalne, któremu na imię — mobilizacja pracy.

Możliwe, że w ramach naszego dotychczasowego ustroju rzeczy te mogą wyglądać rewolucyjnie. Jednakże, gdyby nam nawet ktoś powiedział, że ich realizacja może pociągnąć za sobą przekreślenie całego naszego systemu finansowo-gospodarczego, — to z całym spokojem odpowiedzielibyśmy: to niech diabli wezmą system! Gdy pan Skrzetuski dotarł ze Zbaraża do Króla Jegomości, błagając go o pomoc i gdy kanclerz miał wątpliwości, co do taboru i wozów, — Król odpowiedział krótko i węzłowato — „Komu wozy milsze od Ojczyzny — ten niech zostaje"!

Gdyby więc i u nas podniosły się z różnych stron dąsy i lamenty, że przewekslowanie gospodarki na inne tezy uderzy w święte prawa kapitalistycznego zysku, że militaryzacja gospodarki uderzy w system, który gdzieindziej może dawać dobre wyniki, to odpowiemy podobnie: Komu system milszy od Ojczyzny — z tym w ogóle próżna rozmowa!

Ażeby zaś oczy jego nie patrzały na załamywanie się systemu, który uważa za święty, ażeby serce nie krwawiło się widokiem Ojczyzny wzmacniającej swe siły kosztem zasad, śmiesznych i anachronicznych w kraju, bogatym w możliwości pracy lecz biednym w kapitały — znajdziemy dość zacisznych i ustronnych „miejsc odosobnienia", gdzie można będzie w spokoju patrzeć nie na świat, lecz wgłąb zranionej duszy własnej!

Dla administracji politycznej otworzyłoby się wówczas wdzięczne pole do zastanowienia się, jakie naprawdę elementy winne być do tych miejsc kierowane... Kto wie, czy takie refleksje nie byłyby bardzo na czasie...

OSADA PASTERSKA CZY OBÓZ WAROWNY?

Wydaje się, że czas jest najwyższy postawić i u nas sprawę w ten sposób. Zadajemy na tym miejscu publicznie pytanie: na co my mamy jeszcze czekać? Czy sytuacja nie jest już dostatecznie na sto procent jasna? Czy potrzebne nam są jeszcze jakieś dodatkowe „wstrząsy"? Nad czym więc mamy zastanawiać się, nad czym rozmyślać? Pamiętajmy o smutnej historii indyka, który tak długo myślał, aż mu łeb ucięli...

Wydaje się, że właśnie teraz należy wyciągnąć pełne konsekwencje z hasła: **Salus Patriae — prima lex.** Teraz właśnie trzeba złożyć dowody, czy to hasło jest naprawdę obowiązującą zasadą, czy też tylko odświętnym zwrotem retorycznym?

Teraz chyba czas już najwyższy, aby rozbić na drobne kawałki wszystkie fetysze, które utrudnić mogą integralną obronę, aby wyzbyć się starych nałogów myślenia, przebrzmiałych i śmiesznych po dniu 15 marca.

Teraz właśnie nadeszła ta chwila osobliwa, że wszystkie odłamy opinii publicznej — i totaliści i demokraci — mogą się podpisać pod wspólnym programem: totalizmu obrony.

Jeśli zgadzamy się wszyscy, że Polska musi być jednym wielkim obozem warownym — to miejmy odwagę wyciągnąć stąd wszystkie konsekwencje. Tym się bowiem różni obóz warowny od romantycznej osady pasterskiej, że nie ma w nim żadnych „bouches inutiles", że wysiłek załogi jest skoordynowany i poddany jednej dyspozycji, i że obowiązują w nim żelazne prawa gospodarki wojennej.

Zróbmy choć jedną rzecz naprawdę do końca!...

Witold Ipohorski-Lenkiewicz

CZY BRAĆ FUNTY?

Wypadki ostatnich dni zmieniły oblicze Europy więcej jeszcze niż to na pierwszy rzut oka można zobaczyć. Nie tylko mapa i układ sił zostały radykalnie zmienione. Rzeczy które wczoraj były uważane za zaledwie prawdopodobne, dzisiaj znalazły się w zakresie bliskich możliwości, — i odwrotnie.

Polska, wierna zasadzie równowagi sił w Europie, nie może patrzeć na wydarzenia jako bierny widz. Koniecznem staje się wzmożenie sił polskich, za wszelką cenę i największym chociażby wysiłkiem. Zasadniczo dwa są tylko sposoby wzmocnienia pozycji międzynarodowej państwa: przez rozbudowę sił wewnętrznych i drogą współpracy z innymi narodami. Pierwszy jest nierównie ważniejszy, lecz nie znaczy to jeszcze aby drugi był zupełnie bez znaczenia.

Oczywiście polegać będziemy w każdym wypadku jedynie na własnych siłach, nie na czyichkolwiek obietnicach lub gwarancjach. Ale, rozbudowując jaknajwięcej własne środki obronne i siłę wewnętrzną, nie wolno jest nam ignorować jakiejkolwiek możliwości zwiększenia potencjału obronnego państwa drogą współpracy z inymi mocarstwami.

Przykład jaki nasuwa się pierwszy na myśl, to Anglia. Ostatnie wypadki były dla opinii angielskiej poważnym wstrząsem, ostatnim dzwonem alarmu, nieubłaganą zapowiedzią zbliżającej się rozprawy. Nikt już w Londynie nie ma złudzeń co do zamiarów Niemiec i nikt nie wątpi, że Anglia będzie musiała już w najbliższym czasie wystąpić na drogę zbrojnej walki z Niemcami, „walki takiej jaką toczyła 150 lat temu przeciwko Francji Napoleona", według niedawnych słów Chamberlaina.

Stanowisko Polski jest dla Anglii sprawą pierwszorzędnego znaczenia. Zdaje sobie ona sprawę, że Niemcy rozporządzające oprócz już posiadanych obszarów jeszcze zasobami rolniczymi i mineralnymi Polski, a co zatem idzie i Rumunii, byłyby niemal nie do pokonania, podczas gdy nawet 90-cio milionowe Niemcy walczące na dwa fronty mogłyby spotkać się z nową porażką.

Dzięki sprawności i owocnej działalności naszej propagandy w Anglii na przestrzeni ostatnich 20 lat, Anglicy dotychczas niezupełnie sobie zdają sprawę z różnic jakie istnieją między Polakami a Czechami. Dlatego też szerzą się w Londynie podejrzenia, iż Polska znajduje się na drodze do jakiejś wasalizacji przez Berlin. Ostatni już czas by podejrzenia te rozwiać, co zresztą nie wymaga jakichkolwiek enuncjacji antyniemieckich, sprzecznych z duchem układu z 1934 roku.

* * *

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że W. Brytania rozumie już dzisiaj, iż istnienie silnej Polski leży w jej interesie, — o ile Warszawa nie ma stać się drugim Wiedniem czy Pragą. Teoria o uratowaniu zachodu i kolonii kosztem wydania Europy wschodniej i środkowej na łup Niemiec nie ma już wielu zwolenników w Anglii, bowiem zrozumiano tam, że ambicje Rzeszy nie nasycą się tak łatwo. Pozatem zaś fundamentalna zasada polityki brytyjskiej, niedopuszczająca do czyjejkolwiek hegemonii kontynentalnej, pozostaje nadal w mocy. Mocarstwo, które stałoby się panem kontynentu mogłoby, a nawet musiałoby wcześniej czy później zdobyć Anglię. Jest to dla Imperium Brytyjskiego sprawą życia i śmierci w równym stopniu jak dla wielu nierównie mniejszych krajów. Różnica jest tylko w czasie, lecz nawet okres kilku lub kilkunastu lat nie może mieć żadnego znaczenia w skali polityki światowej.

Opierając się na takich założeniach, Anglia chętnie

udziela pomocy wszystkim, którzy mogą ewentualnie przeciwstawić się niebezpieczeństwu hegemonii. Wydaje się więcej jak prawdopodobnym, iż Polska mogłaby otrzymać od W. Brytanii pożyczkę znacznej wysokości, która pozwoliłaby na zdwojenie tempa rozbudowy COP-u i innych żywotnych inwestycyj.

Oczywiście nikt nie daje pieniędzy za darmo. Jakie warunki postawionoby nam przed udzieleniem podobnej pożyczki?

Tutaj możemy obracać się jedynie w dziedzinie domysłów, które jednak mogą być dość ciekawe i pouczające. Na jakie warunki wartoby się zgodzić?

Nie przesądzając sprawy, wolno nam jednak rozważyć to niezmiernie aktualne zagadnienie.

* * *

Pierwszym warunkiem Anglii byłoby zapewne aby zbrojenia nasze przygotowane z jej pomocą nie były użyte przeciwko niej, to jest po stronie jej przeciwników. Wobec wciąż instniejącego naszego sojuszu z Francją, wydaje się, iż zapewnienia takiego możnaby udzielić.

Jeśli chodzi o ścisłe zobowiązania natury wojskowej, to niewątpliwie Anglia nie stawiała by ich na porządku dziennym, a to dlatego, że uważając pozycję Polski za bardziej eksponowaną od własnej, unikałaby ich jako dla siebie niekorzystnych.

Możliwe byłyby próby ze strony angielskiej upieczenia malutkich pieczeni przy wielkim ogniu i zażądania od Polski w związku z pożyczką jakichś zmian w polityce wewnętrznej, naprzykład w odniesieniu do mniejszości. Oczywiście żaden przedstawiciel Polski nie podejmowałby nawet dyskusji na te tematy, ale zapewne stanowcze wyjaśnienie naszej pozycji co do suwerenności Polski w wszelkich sprawach wewnętrznych wystarczyłoby, aby usunąć wszelkie podobne propozycje z płaszczyzny rozmów.

Wreszcie co do warunków czysto finansowych pożyczki, która miałaby bądź co bądź charakter raczej polityczny, niż czysto gospodarczy, jakkolwiek byłaby nazwana, to należy oczekiwać, że powaga sytuacji nie pozwoliłaby na targowanie się o raty i procenty.

Czy pożądane byłoby dla Polski uzyskanie takiego nowego zastrzyku kredytów i broni?

Czy przyjęcie takiej pomocy nie pozostawałoby w sprzeczności z zasadą neutralności między wrogimi blokami, która jest podstawą polskiej polityki zagranicznej?

Wydaje się, że nie, skoro przyjęcie podobnej pożyczki od Francji parę lat temu nie było w ten sposób komentowane. Poza tym Polska mogłaby ponowić, w razie gdyby tego kto pragnął, jak najbardziej kategoryczne zapewnienia swoich pokojowych zamiarów względem wszystkich sąsiadów bez wyjątku. Niestety kurs tego rodzaju zapewnień na giełdzie międzynarodowej wykazuje silne tendencje spadkowe, czemu zresztą trudno się dziwić.

* * *

Możliwość uzyskania sum nie mniejszych niż z pożyczki francuskiej niewątpliwie istnieje, lecz wymagałoby to pewnego sprecyzowania zasad naszej polityki zagranicznej względem niektórych bieżących zagadnień. Czy wydatne wzmocnienie potencjału obronnego państwa warte jest uchylenia rąbka tajemnicy dyplomatycznej?

Nikt ani w Londynie ani w Warszawie nie zdziwiłby się, gdyby rezultatem bliskiej wizyty ministra Becka w Londynie było uzyskanie takiej właśnie pożyczki. Przyjęcie jej nie zmieniłoby w niczym postawy moralnej narodu liczącego przede wszystkim na własne siły. Nie oczekiwalibyśmy wszak pomocy pancerników brytyjskich na Bałtyku, choć kto wie czy w najbliższych czasach morze to nie stanie się widownią bitew morskich. Nie oczekiwalibyśmy niczyjej aktywnej pomocy jako ostatniej deski ratunku.

Podstawą naszej ufności w przyszłość będzie zawsze tylko bohaterstwo polskiego żołnierza i wiara w niezwyciężony duch narodu. Ale żołnierzowi naszemu musimy dać do ręki najlepszą broń. Jeżeli zaś broń daje nam do ręki obcy, mniejsza o to z jakich pobudek czy dla jakich celów, możemy odrzucić ją tylko w tym wypadku, gdyby nakazywało to nam poczucie godności narodowej lub obrona naszych żywotnych interesów. Należy poważnie zastanowić się, czy wypadek ten zachodzi w stosunku do Anglii, bowiem wydaje się, że otrzymanie od niej milionów funtów zależy w znacznej mierze od nas samych.

Tadeusz Lutosławski

REFLEKSJE I UWAGI

SZARA GĘŚ I OBSERWATOR.

W wygłoszonej ostatnio mowie Mussolini ponowił swoje żądania wobec Francji: Tunis, Dżibuti, Kanał Suezki. Jednocześnie zaś stwierdził, że trwałość osi Berlin — Rzym pozostaje nienaruszona. Tak się przedstawia stan rzeczy, oglądany od strony oficjalnej.

Jak wiadomo jednak — każdy medal ma swoją odwrotną stronę, a oprócz rzęsiście oświetlonej rampy istnieją także nieco ciemniejsze — kulisy. Wolno więc przypuszczać, że istotny stan rzeczy nie pokrywa się na sto procent z oświadczeniami, składanymi wobec tysięcznych tłumów w świetle pochodni i reflektorów.

Wolno przypuszczać w pierwszym rzędzie, że dyktator Imperium Romanum nie był w najmniejszym stopniu zachwycony posunięciami swego kolegi z drugiego końca osi.

Co do długo gadać — sprytny Führer oszukał całkiem zwyczajnie swego rzymskiego kolegę i wypchnął go bez ceremonii z Europy środkowej. W tej części świata Włochy posiadały ongiś całkiem poważne wpływy, w orbicie ich polityki znajdowały się Austria i Węgry, liczono się z nimi poważnie w Rumunii, a ambicje ich sięgały jeszcze dalej. A dziś — hej, hej, gdzie te czasy?... Führer rządzi się w Europie środkowej jak szara gęś, anektuje Czechy, ogłasza protektorat nad Słowacją, opanowuje gospodarczo Rumunię, a Duce musi się temu przyglądać, „zajmować stanowisko", względnie stwierdzać, że pewne rzeczy „były nieuniknione". Gdzież są te czasy, gdy się mówiło, że w basenie naddunajskim czynnikami decydującymi są Niemcy, Polska i... Włochy?

BIADA TYM, CO SIĘ SPÓŹNILI...

Narazie jednak Duce robi dobrą minę i wszystkie swoje pretensje kieruje pod adresem Francji. Nie możemy jednak mu się dziwić, a co najważniejsze — nie możemy odmówić mu znacznej dozy słuszności. Ażeby bronić bowiem niezmienności francuskiego stanu posiadania, aby miotać pioruny na „faszystowską zachłanność" Rzymu — trzeba byłoby wychodzić z założenia, że świat jest obecnie sprawiedliwie podzielony.

Tymczasem my Polacy wiemy najlepiej, że tak nie jest. W okresie, gdy państwa białej rasy dzieliły między sobą kulę ziemską, brakowało między nimi szeregu narodów. Brakowało Polski, brakowało i Włoch. Gdyby w okresie ekspansji terytorialnej Europy w Afryce Włochy istniały jako zjednoczone, silne mocarstwo — mapa Afryki wyglądałaby z pewnością zgoła inaczej, a Tunis należałby jak amen w pacierzu do Włoch. Włochy spóźniły się do uczty kolonialnej, gdyż były słabe, a teraz, kiedy są silne — zgłaszają pretensje. Czy można poza tym odmówić im słuszności, kiedy twierdzą, że przemawia na ich korzyść przewaga kołysek nad trumnami, podczas gdy we Francji rzecz ma się — odwrotnie?

MISTYKA IMPERIALNA I GROŹBA TRZECH FRONTÓW.

Trzeba też zdawać sobie sprawę ze swoistej mistyki imperialnej, jaką opanowane są Włochy. Kto był w Rzymie — ten pamięta na via del Impero olbrzymie mapy, obrazujące zasięg Imperium Romanum w starożytności i dzisiaj. Jasne więc jest, że to co robi dzisiaj Mussolini — jest konsekwentną odbudową Imperium Rzymskiego. W tej zaś koncepcji Tunis — dawna prowincja Cesarstwa — położony tuż obok Sycylii, posiadający dzisiaj około połowy ludności włoskiej, i ciążący niedwuznacznie do pobliskiej Italii, a nie do dalekiej Francji, — musi należeć do Rzymu. Taka jest logika rozwoju wydarzeń i takie są konsekwencje mistyki imperialnej, pod znakiem której żyją Włochy dzisiejsze.

Podobnie przedstawia się sprawa z portem w Dżibuti. Czy jest do pomyślenia, ażeby ten naturalny port Abisynii, wyjściowa stacja kolei do Addis Abeby, znajdował się w posiadaniu Francji po podboju Abisynii przez Włochy? Twarde prawa życia mówią, że sytuacja jest dzisiaj inna, niż przed zwycięstwem włoskim i że z faktu porażki Negusa musi być wyciągnięta pełnia konsekwencji.

Rzecz prosta — terytorialne ustępstwa Francji na rzecz Włoch stanowiłyby ciężką ofiarę z jej strony a nawet — nadwyrężenie prestiżu mocarstwowego. Jednakże z prestiżem tym i bez tego jest dzisiaj całkiem nieszczególnie, a poza tym w polityce, tak jak w ogóle w życiu, trzeba umieć z dwuch złych rzeczy wybrać zło mniejsze. Jeśli za cenę skurczenia swojego stanu posiadania i zrobienia miejsca Włochom Francja może zyskać odciągnięcie Rzymu od Berlina, jeśli w ewentualnej przyszłej wojnie będzie posiadała tylko jeden front — niemiecki, zamiast dwuch lub

trzech — niemieckiego, włoskiego a może i hiszpańskiego — to czy tego rodzaju tranzakcja nie opłaciłaby się sowicie? I czy takiej właśnie ewentualności nie boi się Führer, który w tym przypadku pozostałby „sam jeden, sam jeden na cały ten świat"?

A jeśli takiego właśnie rozwiązania boją się Niemcy, to czy nie jest to powodem, ażeby zastanowiła się nad tym — Francja? I czy nie mieliby racji przyjaciele Francji, którzy w imię jej własnego interesu, takie właśnie rozwiązanie jej sugerowali?

JAK POSTĄPIŁBY JULES CAMBON?

Historia dyplomacji francuskiej zna zresztą przykłady podobnego rodzaju rozwiązań. Gdy na parę lat przed wojną Niemcy wystąpiły z żądaniami kolonialnymi wobec Francji, gdy na poparcie swych żądań wysłały kanonierkę „Panterę" do Agadiru, i gdy wojna francusko-niemiecka zdawała się wisieć na włosku, ambasador Francji w Berlinie Jules Cambon wystąpił z propozycją uregulowania całokształtu spraw spornych. Gdy zaś ze strony niemieckiej oświadczono mu, że warunkiem rokowań musi być zgoda na ustępstwa terytorialne — Cambon spokojnie przyjął to do wiadomości.

Opinia francuska, jak wiadomo, zawrzała na to oburzeniem, a na głowę nieszczęsnego ambasadora posypały się oskarżenia i insynuacje. Ale Cambon wiedział co robi. Wiedział, że są sytuacje, gdy trzeba zdecydować się na utratę rzeczy mniejszej, aby uratować większą. Wiedział, że Francja ówczesna nie była przygotowana do wojny. Wiedział, że co innego cesja olbrzymich nawet połaci afrykańskiej pustyni lub dżungli, a co innego — chociażby skrawka kraju macierzystego. Wiedział też o podstawowej a odwiecznej zasadzie rządzenia: *„odium qui timet — regnare nescit"*. I dlatego też robił spokojnie swoje.

Wynik akcji Cambona był znany. Niemcy otrzymały dość obszerne tereny kongolańskie, Francja zaś zyskała parę lat zwłoki, dzięki którym mogła wygrać wojnę i uratować swój byt. Wielki zaś ambasador przeszedł w glorii do dziejów ojczystych.

CZY DUCE MOŻE SPRAĆ KIEDYŚ FUEHRERA?

Sytuacja obecnie jest analogiczna. W rękach Francji znajduje się obecnie decyzja nie tylko co do własnych losów, ale być może — co do losów świata. Od jej decyzji będzie zależało, po której stronie będzie stała olbrzymia potęga współczesnej Italii i czy historia osi Berlin — Rzym nie będzie przypominała historii — Trójporozumienia.

Powzięcie przez Francję decyzji nie będzie rzeczą łatwą. Francja nie posiada, niestety, ośrodka dyspozycji, który byłby wolny od nacisku sprzecznych interesów i który mógłby się kierować wyłącznie względami na dobro Państwa. Ustrój parlamentarny osłabił siły Francji i zdezorganizował jej życie wewnętrzne, a wszechpotężne Loże postawiły ją w stan wojny ideologicznej z państwem Mussoliniego. Za swoją uległość wobec ośrodków wolnomularskich i za kierowanie się interesem Lóż, a nie interesem Państwa Francja płaci dziś gorzko i w Hiszpanii i gdzieindziej. Ciężką więc będzie rzeczą wyrwać się misternej sieci pajęczej, która omotała cały organizm francuski.

A jednak konsekwencje porozumienia się Włochami są tak brzemienne w skutki błogosławione, że muszą się narzucać politykom francuskim. Oś Berlin — Rzym nie jest bynajmniej ze stali molibdenowej, a w dodatku zostały na niej osadzone dwa nierówne koła. Pomimo całej odświętnej deklamacji o „spotkaniu się dwuch rewolucyj narodowych" — sojusz Niemiec i Włoch może być tylko taktyczny. Wystarczy spojrzeć na zmienioną mapę Europy, ażeby zdać sobie z tego sprawę. Führer nie tylko wypchnął Duce z Europy Środkowej, ale rozdęte imperium Germanów ciężką ołowianą kulą zwisa nad Adriatykiem. Istnieją coprawda uroczyste obietnice, że „z nienaruszalności granicy Brenneru uczynię, o Duce, testament dla narodu niemieckiego", ale znany jest los takich np. nie mniej uroczystych oświadczeń, że „Rzesza nie pragnie posiadania obcych narodowości w swoich granicach". Pozatem — na Adriatyk można wyjść niekoniecznie przez przełęcz Brenneru; można wyjść np. — przez Chorwację, z którą Rzesza graniczy dziś bezpośrednio...

Wszystko więc przemawia za tym, że w razie zwycięstwa we Francji zdrowego rozsądku, w razie zrozumienia, że odrodzone Imperium Rzymskie ma prawo do swojego miejsca pod słońcem — Duce nie tylko może pozostać neutralny, ale może wziąć udział w dobitnym tłumaczeniu Führerowi, że dążenie do hegemonii w Europie jest rzeczą niewłaściwą i zdrożną...

Pamiętajmy też pozatem o pewnych żelaznych prawach psychologicznych. Bo, jest to mówił Maciek Dobrzyński w rozmowie z Dąbrowskim: „Dwuch orłów, panie, razem się nie gnieździ...".

BRACIA LITWINI! A MOŻE BY TAK — GRUNWALD?

Po zajęciu przez Niemców Kłajpedy, dokonanym pod groźbą inwazji zbrojnej, ze strony opinii polskiej dały się słyszeć liczne głosy sympatii i współczucia dla Litwy. Co do nas — uważamy, że rozwój sytuacji pcha oba kraje nie tylko w kierunku współczuwania ze sobą, ale w kierunku coraz ściślejszego współdziałania. Historia się powtarza w sposób zdumiewający, a chociaż dużo wody upłynęło w Niemnie od czasów Witolda, Polska i Litwa stoją dzisiaj wobec tych samych niebezpieczenstw i wobec tego samego wroga, co wówczas. Różnica polega tylko na tym, że na płaszczu tego wroga nie figuruje już umieszczony obłudnie i świętokradczo znak krzyża Chrystusa, lecz krzyż inny, który tamtemu znakowi wydał walkę otwartą.

I dlatego też, ponad wszystkie różnice, jakie mogą dziś dzielić Polskę i Litwę, wybija się mimo woli i narzuca się nieprzeparcie wizja Grunwaldu. I kto wie, czy ku temu właśnie rozwiązaniu nie pcha nas Historia. Kto wie, czy dla zupełnej analogii nie znajdą się nawet jakieś pomocnicze chorągwie ruskie, jak znalazły się wówczas, wowym dniu triumfu i glorii.

Wiemy rzecz prosta, dobrze, że pomiędzy Litwą i Polską istnieje dzisiaj spory wał wzajemnych uprzedzeń, żalów, niechęci i nieporozumień. Ale przed batalią grunwaldzką było przecież — tak samo.

„...Wszak Polacy miewali zamieszki
Z Litwą gorsze, aniżeli z Soplicą Horeszki —
A gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga,
To się bez sądów owa skończyła intryga!".

I dlatego też jeśli zdajemy sobie sprawę, że narody nasze skazane są na współdziałanie, że z niezgody naszej i kłótni może się cieszyć tylko ktoś trzeci, i że nic tak nie zbliża ludzi jak wspólne niebezpieczeństwo, to wobec tego — szukajmy Jadwigi!

Z BAGNETEM W POCHWIE — NIE PADŁ ANI STRZAŁ!

Ktokolwiek obserwował uważnie reakcję ogółu na wypadki czeskie, ten musiał dojść do dziwnego pozornie wniosku, że najmniej stosunkowo było w tem — współczucia. Nie dlatego, ażeby w społeczeństwie polskim nie istniała potencjalna gotowość do bardzo serdecznego współczucia i do szczerego zapomnienia uraz w obliczu nieszczęścia, tylko po prostu dlatego, że świadomie lub nieświadomie górowało nad wszystkim — uczucie pogardy.

Więc jakto? Bez jednego wystrzału, bez próby oporu, świetnie uzbrojony naród rezygnuje ze swej niepodległości? I to naród, posiadający takie ongiś ambicje, pragnący odgrywać rolę arbitra w Europie środkowej i nie mający sobie za hetkę - pętelkę swoich sąsiadów? Przecież nawet wówczas, gdyby nie było szans na uratowanie niepodległości, gdyby przemoc miała zatriumfować, to pozostawała do uratowania rzecz najcenniejsza — Honor?

Państwo Polskie uległo w swoim czasie przemocy wrogów i zniknęło z mapy Europy, ale myśmy mieli mimo wszystko Insurekcję Kościuszkowską, ale Tadeusz Rejtan rzucił się na próg sali sejmowej, aby protestować przeciw gwałtowi na ciele Ojczyzny. A gdzie był czeski Rejtan? Gdzie był czeski Kościuszko?

ACH BIERZCIE WOZY, ACH BIERZCIE DOSTATEK...

Czeskiego Rejtana, jak wiadomo, nie było. Pojęcie Honoru okazało się obce trzeźwemu narodowi, wychowanemu w kulcie dóbr materialnych. Obcą była ta prawda podstawowa, że tylko gotowość do złożenia ofiary z życia może stanowić tytuł moralny do bytu niepodległego. Czechom obce były pojęcia *imponderabiliów*, które, choć ich zważyć ani w rękę wziąć nie można, stanowią istotne źródło wolności. Państwo czeskie nie zrodziło się bowiem w wyniku samodzielnego czynu żołnierskiego, nie posiadało u swoich podwalin żelaznego kapitału krwi, lecz zostało stworzone przez obcych przy zielonym stole obrad dyplomatycznych. Niedarmo więc gwarancję swego bytu upatrywało ono nie we własnej sile moralnej i materialnej, lecz w pomocy i opiece obcych. Wiemy też dobrze, jak na tym wyszło.

Gdy prezydent Hacha po poddaniu się Hitlerowi opuszczał Berlin, wydał on odezwę, w której stwierdził, że „naród czeski może oczekiwać spokojnego życia". W parafrazie poetyckiej oznaczało to: „Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek — tylko puszczajcie nas zdrowo!...

Niedarmo też Marszałek Piłsudski, gdy proszono Go o pozwolenie złożenia wieńca na grobie czeskiego Nieznanego Żołnierza w Pradze, odpowiedział twardo: „Wszyscy żołnierze czescy są mi nieznani"...

I niedarmo Benito Mussolini uważa za konieczne podkreślać przy każdej okazji, że „narody, które nie umieją nosić broni własnej, będą zmuszone nosić broń cudzą"...

NA TERMOPILACH JAKĄBYM ZDAŁ SPRAWĘ...

Gdy z górą sto lat temu od wystrzału belwederczyków zajął się pożar Rewolucji Listopadowej i gdy naprzeciwko siłom olbrzymiego Cesarstwa stanęły szczupłe siły Królestwa Kongresowego — żołnierz polski wypełnił do końca swoje zadanie, ratując Honor.

Pomimo to jednak sumienie Polaków było niespokojne, a przelana bohaterska krew nie przeszkadzała Wieszczowi zadać sobie gorzkie pytanie:

„Na Termopilach jakąbym zdał sprawę,
Gdy stanęli męże nad mogiłą,
I pokazawszy mi swe piersi krwawe
Potem spytali wręcz — wielu was było?..."

Czechów było, jak się zdaje, nieco więcej niż Spartańczyków w wąwozie termopilskim. Ale wódz ich nazywał się nie Leonidas, lecz tylko — Syrowy...

wil.

SPÓR O WĄTROBĘ PROMETEUSZA

CADYK I ZNACHORZY

„Pamiętniki lekarzy", wydane ostatnio, zwróciły uwagę na szerzącą się na wsi klęskę znachorstwa. Znachor jest — jak wiadomo, nietylko dobrym tematem filmowym ale i złym duchem wsi. I nietylko wsi. Można go bowiem także spotkać w... polityce.

Cechą znachora jest, iż uważa się on za mędrca i że tę swoją mądrość czerpie wyłącznie z siebie, niewiele wagi przywiązując do rzeczywistości. Znachor niemal zawsze jest mistykiem i wierzy przede wszystkim w sprawy, które „czasoprzestrzennie" określić się nie dadzą.

Znachor w polityce także nie liczy się z czasem i przestrzenią. Dla niego dziwne sprawy, o których słyszał, że działy się niegdyś i gdzieindziej, mogą zdarzyć się także dzisiaj i tutaj. Trzeba tylko mocno chcieć, skupić się, wyszeptując różne tajemnicze abrakadabry. Znachor czyta w starych księgach, na ich podstawie „czaruje" i stara się przepowiadać przyszłość. Gdy jest dziennikarzem, cytuje z pamięci Nestora i pisuje listy otwarte za granicę o tym, jaka to będzie Polska za lat dwieście. Zdania swe wypowiada jako prawdy objawione, na tej samej zasadzie co rabin z Kocka czy cadyk z Góry Kalwarii. Wobec zdziwionych zadziera nosa, odmawia dyskusji i cedzi wytworne wyrazy w rodzaju: „A ganef, a myszygene, a brochte kiszkies!".

Zbyteczne dodawać, że wszelkie znachorstwo w polityce może być niewinne lub szkodliwe. Gdy jest niewinne, należy przechodzić nad nim do porządku, gdy jest szkodliwe — trzeba z nim walczyć.

W Polsce mamy dziś do czynienia z znachorstwem szkodliwym.

„ABY GORĄCZKA SZYBCIEJ WYSZŁA..."

Nie ma co ukrywać, że mamy dziś u siebie miejsca chore. Nie ma co ukrywać, że chore terytoria jak najgorszą oddają przysługę pokojowi europejskiemu. Czasem zwykłym kichnięciem można w górach wywołać lawinę, zwłaszcza po zamieci. Dziś wystarczy, by ktoś mocniej zakatarzony w Europie kichnął a katastrofa i nowa zawierucha gotowa. Nie znaczy to oczywiście, by nie można sobie było od czasu do czasu porządnie wyczyścić nosa. *Audaces fortuna juvat*. Ale na wszelki wypadek lepiej być zdaleka od chorób, lepiej za wczasu je leczyć.

O naszej „chorobie" i jej przyczynach wie i pisze dziś często zagranica. Jedno z popularnych pism ilustrowanych za granicą umieściło niedawno obrazek przypominający jak gdyby diagram Roentgena. Jest to mapa Małopolski Wschodniej, w której ujawniony jest lekko ślad jakiegoś „obcego ciała" — przyczyny choroby. Coś — jakby połknięty haczyk, jednym ramieniem zahaczony o Lwów, drugim wysunięty na południe, trzecim — na Kijów, a czwartym — na północ. Zbyteczne dodować, że to nie żaden tajemniczy haczyk tylko zwyczajny „hackenkreutz" dostał się „pod skórę" tego obszaru i zaczyna wywoływać tam drażnienie, plucie krwią itp. Haczyk wyjąć, chore miejsce leczyć — tak brzmiałaby rada zwyczajnego chirurga.

Takby uważali wszyscy, tylko nie — znachor. Znachor uważa, że o co innego tu chodzi i trzeba stosować inne, bardziej wymyślne leki.

W jednej z nowelek Prusa znachorka wiejska „wypędza" gorączkę z chorego w ten sposób, że wkłada pacjenta do rozżarzonego pieca. Z chorego robi się oczywiście pieczeń, ale to dlatego — wedle słów znachorki, — że „gorączka za prędko wyszła".

W bardzo podobny sposób niektóre sfery pragnęłyby dziś u nas upiec rozgorączkowaną Ruś na Hałyczynę — „ukraińską pieczeń", w nadziei, że tą drogą usunie się przyczyny choroby. Nieinaczej bowiem tłumaczyć sobie należy, że niektóre grupy polskie wysuwają dziś dla Małopolski Wschodniej program ukraiński jako państwowy, w odróżnieniu do programu polskiego jako... antypaństwowego (!).

CZYJA EKSPANSJA I... W KTÓRĄ STRONĘ?

Gdy swego czasu nauczał w ten sposób pewien doktór z Wilna, wiedzieliśmy dlaczego tak czyni i dlaczego ogłasza Lwów — stolicą zachodniej Ukrainy. Notabene — ideowy doktór pokutuje dziś za swe mrzonki na Antokolu. Ale dlaczego dość podobne poglądy wygłaszają dziś ludzie, co do których patriotyzmu nie można mieć wątpliwości, ponieważ wszczepiły go im w krew długie pokolenia zasłużonych przodków? Czy nie należy skłaniać się do opinii, że mamy tu do czynienia nie z trzeźwą i realną polityką, ale właśnie ze znachorstwem i alchemią polityczną, która to ma do siebie, że znajduje na wszystko oryginalne recepty ale niczego zmienić ani ulepszyć nie potrafi. W ten sposób powstają oryginalne programy filo i antysemicko-katolicko-konserwatywno-radykalno-liberalno-imperialistyczne i t. p., które cieszą się nawet popularnością, mimo, iż przez nikogo nigdy nie są i nie mogą być realizowane. A może właśnie — dlatego.

Do takich popularnych programów dziennikarsko-politycznych należy też t. zw. idea prometejska. Jest to idea w założeniu swoim tak nęcąca, że nikt, nawet autor niniejszego, nie znalazłby sensownego powodu do jej zwalczania. A niechże sobie będzie ten nasz prometeizm! Mają Niemcy swój „Drang nach Osten" hakatystów i „kulturträgerów", miejmy i my swój — apostołów i idealistów polskich. Tym bardziej, iż hasło „za waszą wolność — naszą potęgę" jest wyrazem realnego poglądu na sprawy Europy Wschodniej.

Ale co innego idea wojenno-imperialna a co innego wytyczne polityki wewnętrznej państwa. Rozumiał to dobrze jedyny pruski „prometeista" Bethman-Holweg, gdy obiecywał Polakom wolność wszędzie, tylko nie w granicach pruskiego zaboru. Zresztą innych analogij w tym przykładzie nie ma.

Otóż — pójdziemy z hasłem „prometejskim" na wroga, ale politykować z nim pod Krakowem, Lwowem i Brześciem nie będziemy. Nie będziemy patrzyli spokojnie na to, jak mniejszość ukraińska usiłuje urządzać wystawy „łemkowskie" w Krakowie, „huculskie" we Lwowie a wystawę p. t. „Polesie" — w Brześciu n/B.! Bo czyż tak ma wyglądać wstępny etap realizacji prometeizmu? Nie ekspansja nasza na wschód ale ukraińska na zachód i północ!? A do licha z takim „prometeizmem", z taką „ekspansją" i „ofensywą"!

„POMNIEJSZAJĄCE POWIĘKSZANIE" I TROCHĘ RZECZYWISTOŚCI.

Bo — na prosty rozum — jest to pomniejszaniem Państwa Polskiego. Ale tu spotykamy się z argumentem „znachorskim": że właśnie powiększanie np. polskości Lwowa jest pomniejszaniem Polski a dopiero przez pomniejszanie polskości kresów prowadzi droga do potęgi. Dlaczego? Bo tak było niegdyś i — gdzieindziej. Mianowicie w 16 w. na Kijowszczyźnie i nad Morzem Czarnym. Tam-to władanie polskie było zrazu a-narodowe, uwzględniające interesy innych ludów i ich ziem — i słusznie. Ale czyż stąd wniosek, że powinniśmy na tych samych zasadach władać Małopolską Wschodnią? Ziemią, która — nie zapominajmy o tym — nie jest żadną „jagiellonosferą", ale piastowską częścią ziem koronnych. A jeśli zagadnienie narodowościowe tych ziem jest dziś bardziej skomplikowane niż kiedykolwiek, to nie należy zapominać, że dziś na Rusi Czerwonej inne prądy i siły działają, niż w 16 wieku „na dalekiej Ukrainie".

Te siły na ziemiach południ.-wschodnich są dziś w zwarciu i znachorskim zaklęciem nikt ich nie opanuje. Jedna z tych sił (mowa o siłach, a nie narodowościach) to zdrowa ekspansja polskości. Druga — to ów rak, toczący organizm — germanofilski separatyzm, w samej swej strukturze nienawistyny wszystkiemu co polskie. (Prawdziwa, własna i twórcza siła pozytywnego ukrainizmu jeszcze na tych ziemiach się nie rozwinęła). Polacy wschodnio-południowi są dziś w walce z separatyzmem, niezależnie od tego, czy się to komu podoba czy nie. Polityczne abrakadabry Małopolski nie rozbroją. I niezależnie od tego, czy źle czy dobrze czynią Małopolanie walcząc o swój los na tej ziemi — pomaganie przeciwnikom nie jest „powiększaniem Ojczyzny", nie i jeszcze raz nie!

NADZIEJE PROTEKTORÓW I „NADZIEJE" PUPILKÓW.

Zbyteczne stwierdzać, że nasza tendencja narodowa wobec mniejszości powinna być dziś jednolita i zgodna, niezależnie od tego, czy reprezentuje ją Polak - szef rządu, czy Polak - chałupnik kresowy. Powinna być zgodna tak wobec zagranicy jak na całym obszarze państwa.

Nie może być tak, by jedni konserwatyści robili z ziem koronnych Polski — „jagiellonosferę”, drudzy sprzedawali tę „jagiellonosferę” żydom, a miejscowy chłop i robotnik polski drżał przed mniejszością, wytwarzając w sobie samym „minderwertigkeitskompleks”.

Nie może być, byśmy w imię naszych przyszłych zadań na wschodzie Europy schlebiać mieli mniejszościom na wschodzie Polski, choćby to się wydawało komuś takie proste i genialne zarazem. Po pierwsze dlatego, że sprzymierzeńców zyskuje się nie przez pochlebstwa lecz przez realne dowody niezależnej siły. (Chyba, że „wspólna niedola“ łączy narody, o czym w tym wypadku mowy być nie może). Po drugie zaś dlatego, że nasze sny o potędze nie mogą wspierać się na takim elemencie mniejszościowym, jaki dziś zamieszkuje wespół z nami nasze województwa wschodnio-południowe. Jest to bowiem element o niewysokim ciężarze gatunkowym. Jest to albo typowy graniczny „mischvolk“ albo ludność nie dojrzała jeszcze do chrztu narodowego, albo wreszcie narodowość *in statu nascendi*, której „żywioły jeszcze są w waśni“.

Nie należy zapominać, że narodowość ukraińska u nas, tak reklamowana przez niektóre polskie publikacje, ma np. tylko 150 uczniów w liceach, ale za to około 15 partyj politycznych, w tym jedną — czysto kobiecą, (że tylko z będącego pod ręką „Diła“ te dane zaczerpiemy). Morale ukraińskich mas charakteryzują najlepiej ich dziennikarze: „W niektórych miejscach Ukraińcy zaniechali wszelkiej pracy, zarzucili kooperatywy a nawet nie chcą bielić swych chat, bo „na wiosnę coś będzie“. I bardzo wiele jest takich, którzy w to „coś będzie“ wkładają wszystkie swoje nadzieje“. Warto dodać, że pisze tak nie żaden „siczowiec“ z nad Zbrucza ale nasz chłop spod Krynicy, — „Nasz Łemko”, (czasopismo ukraińskie).

A teraz zapytajmy: Czy istnieje gdziekolwiek na świecie państwo, któreby na takich „nadziejach“ swych obywateli budowało własne nadzieje mocarstwowe? Czyż nie lepiej i uczciwiej wywiesić odrazu po tej stronie granicy wielki transparent z napisem: *„Lasciate ogni speranza“*? A dopiero na odwrocie wypisywać prometejskie szlagworty?

DOBRA METODA NIE JEST ZŁA.

Czas najwyższy, byśmy zrozumieli, że choć tendencja nasza wobec mniejszości musi być zgodna, o żadnej jednej generalnej i trwałej metodzie załatwiania spraw mniejszości terytorialnych nie może być u nas mowy. Warto pamiętać, że metod „wiązania z państwem“ może być wiele i żadna „dobra metoda nie jest zła“ i że dobrą metodą może się okazać nieraz w każdym wypadku metoda inna. Co zdaje się nie przeszkadzać temu, by wykrystalizowała się i utrwaliła wreszcie zbiorowa i jednolita tendencja narodu polskiego wobec mniejszości w państwie, czy jak kto woli — wola narodowa.

Znachorstwo polityczne popełnia błąd aż poczwórny. Błąd „jedynej metody“ stosowanej w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie i z niewłaściwym kontrahentem.

Kontrahent główny — narodowość „russko“-ukraińska — nie dojrzał jeszcze dziejowo do współdziałania w „wspólnym interesie“, dla którego zresztą — wbrew przewidywaniom „prometeistów“ — żadnych zainteresowań dzisiaj nie zdradza. Poza tym — musiałby z natury rzeczy być dziś kontrahentem nielojalnym. Narodowość „russko“-ukraińska jest dziś bowiem „rozdartą sosną“. Jedna jej część ciąży do Rosji, druga wiąże się ostentacyjnie z Niemcami, żadna zaś z Polską. Aby zrodził się wśród niej nie prąd ruso- czy germano-, ale polonofilski, na to musiałaby się wytworzyć całkiem nowa płaszczyzna, którą ani dzisiejszy ukrainizm ani „russyzm“ być nie mogą i — nie chcą. Czy utworzenie takiej trzeciej płaszczyzny jest warunkiem czy też okaże się tylko wynikiem naszej potęgi, tego przesądzać w tej chwili nie chcemy.

TRAGEDIA PROMETEUSZA A REBOURS

Rzecz jednak pewna, iż dzisiejszy nasz „prometeizm“ nawiązujący do Łemków, Bojków i Hucułów czy nawet ...Poleszuków — nie jest prometeizmem, z którym Śmigły zdobywał Kijów. Niech zrozumieją dobrze i p. Bączkowski i „Polityka“, że ich prometeizm jest to „prometeizm“ inny. Politycznie niewłaściwy ale za to wierny ...pewnej starej legendzie. Legendzie o Prometeuszu, który za czyny pełne poświęcenia, idealizmu i bohaterstwa zapłacił niewolą i męką. Była to tragedia klasyczna o Prometeuszu spętanym.

Zdumiewa nas bardziej, że nasi „prometeiści“ pragnęliby kolejność rzeczy w tej tragedii odwrócić. Pragnęliby stworzyć coś w rodzaju „prometeizmu à rebours”. Obwołując bowiem Polskę — „Prometeuszem narodów“, już zawczasu zdają się skazywać jego wątrobę—Małopolskę Wschodnią — na udręki i katusze, jakgdyby nie widzieli tych międzynarodowych sępów, którzy siedzą na pobliskich drzewach i — ostrząc sobie dzioby — czekają.

Dodajmy, że nie boimy się zupełnie o tę wątrobę. Cóż? Spuchnie, zbroczy się krwią i żółcią ale — zawsze odrośnie. Nie darmo jest „wątrobą Prometeusza“. Nie darmo jest Rusią Czerwoną, która tylekroć w dziejach ginęła i odrastała przy Macierzy. Ale pocóż narażać naszego Prometeusza na zbyteczne cierpienia? Czyż nie lepiej, by szedł on kiedyś na Wschód ze zdrową wątrobą, szlachetnym sercem i mocnymi dłońmi? Szedł po zwycięstwo a nie po tragedię i klęskę?

Czyż taką możliwość „prometeiści“ nasi wykluczają. Czyżby — zagłębiając się zwyczajem znachorów w mroki przeszłości i przyszłości — widzieli w jasnowidzeniu wszystko, tylko nie dostrzegali... dnia dzisiejszego i jego prostej prawdy? Tej prawdy, którą jest nowa potęga polska, na nowych zasadach wzrastająca i nowymi ale pewnymi drogami krocząca już dzisiaj — bez znachorstw i wróżb — w swoją wielką przyszłość?

Nie będziemy się zresztą zastanawiali nad tym co widzą w gwiazdach a czego nie widzą na ziemi nasi magowie i znachorzy polityczni. Wystarczy nam, że są inni, którzy poczucia rzeczywistości w Polsce nie tracą. I jest ich coraz więcej. I to nas pociesza.

Bolesław Wasylewski

GDAŃSK I WOŁYŃ

Kiedy tak niedawno ulicami Warszawy przeciągały *gromadki* młodzieży akademickiej, demonstrując przeciwko Rzeszy niemieckiej z powodu zajść na Politechnice gdańskiej, zrodziły się w mózgu na temat Wolnego Miasta pewne refleksje i nabrały barw żywych i świeżych. Kiedy zaś na Hradczynie zatknięta została chorągiew ze swastyką — refleksje te pogłębiły się i zaostrzyły.

Nie dlatego oczywiście, że dostęp do bram poselstwa niemieckiego został sprawnie i szybko zamknięty. Tak powinno się było stać ze względów kurtuazji międzynarodowej i z powodów natury zasadniczej. Nie dlatego również, aby takie manifestacje mogły mieć *dzisiaj* wpływ na stosunek Gdańska do Polski. Nie przystoi być Don Kichotem, kiedy partner napewno nie chce grać roli Sancho Panscha.

Poprostu jesteśmy w okresie wielkanocnych rekolekcji i wypada uczynić rachunek sumienia. Taki zwykły i pogodny, bez dramatycznego „oskarżam“ i bez samobiczowania się. Wątek rozważań rekolekcyjnych jest następujący: *Czy z Gdańskiem musiało tak się stać, jak się stało?*

To znaczy: czy ewolucja Wolnego Miasta od zagubionego w powojennym rozgardiaszu strzępka byłej monarchii Hohenzollernów do ułamka nazistowskiego monolitu Trzeciej Rzeszy była koniecznością dziejową, czy też konsekwencją takich działań i zaniechań, które zależały od ludzkiej woli. W naszym wypadku od woli — Polski.

Czy zatem mamy do czynienia w sprawie gdańskiej z nieodpartym procesem „biologicznym“, z żelaznym prawem natury, czy też krzywą stosunków polsko - gdańskich na przestrzeni 18 lat wykreślały jakieś ludzkie współczynniki dodatnie i ujemne i za czyją mianowicie sprawą?

Cofnijmy się więc do roku 1921. Charakter publiczno-prawny Wolnego Miasta i jego serwituty określały: artykuł 104 Traktatu Wersalskiego, paryska Konwencja polsko - gdańska z 9 listopada 1920 r. i wreszcie Umowa polsko - gdańska z 24 października 1921 r.

Unikając scholastyki prawniczej w zakresie określania stopnia suwerenności Gdańska, jedno można napewno ustalić: suwerenność ta została *okrojona na rzecz Polski*. I to bardzo po-

ważnie. Zwłaszcza w zakresie polityki zagranicznej, obronności i, co najważniejsza, *użytkowania wód* terytorialnych na morzu i wewnętrznych — Wisły, jej ramion i kanałów.

Owe serwituty były jednocześnie ramami polskich możliwości kształtowania orientacji Wolnego Miasta według busoli interesów Rzeczypospolitej. Rozwój więc wypadków zależny był początkowo od tego, czy i w jakim zakresie możliwości te będą wykorzystane. Mieliśmy wówczas wysokie szanse.

W 1921 r. Gdańsk był wszak zaledwie odpryskiem byłego Cesarstwa, powalonego burzą dziejową, skołataną drobiną na szalejącym oceanie powojennej Europy, grudką plasteliny, czekającą na rzeźbiarza i *ciążącą* ku Polsce, t. j. w kierunku naturalnych skłonności gospodarczych.

W tym to mniej więcej czasie ukazała się broszurka J. Klejnot Turskiego pod tytułem: „Tczew — port Rzeczypospolitej". Podkreśla ona znaczenie artykułu 104 traktatu i § 28 konwencji oraz artykułu 171 p. 1 umowy, które zapewniły Polsce nieograniczone prawo korzystania z dróg wodnych Gdańska. Autor rzucił myśl mocnego usadowienia się Polski w Wolnym Mieście w następujący sposób: port w Tczewie zostaje rozbudowany, pogłębiony i dostosowany do żeglugi morskiej, tam dokonuje się morskich wyładunków i załadunków, korzystając z potężnej drogi wodnej — Wisły; port gdański służy potrzebom polskiego tranzytu i spełnia rolę portu otwartego.

Propozycje te dotyczyły *gospodarczej* strony zagadnienia. Na ich kanwie rozpatrzmy *stronę polityczną*. Traktatowe uprawnienia, gwarantujące Polsce pełnię użytkowania dróg wodnych Wolnego Miasta były oczywiste. Koncepcja wewnętrznego portu w Tczewie prawnie nie budziła zastrzeżeń. Była ona również osiągalna praktycznie. Bowiem umiejscowienie polskich ośrodków handlowych i morsko - przemysłowych w Gdańsku, centralizacja tam naszych interesów gospodarczych i napływ polskiego elementu etnicznego musiałyby stworzyć taki stan faktyczny, któryby *przeobraził układ sił* na obszarze Gdańska.

Wydaje się, że wczas i planowo podjęta ekspansja gospodarczo - finansowa musiała doprowadzić do zorientowania Wolnego Miasta na Polskę w sposób zdecydowany i przesądzający sprawę. Zwłaszcza, gdy się dysponowało serwitutami szeroko zakreślonymi i to w czasach, kiedy *Rzesza niemiecka przechodziła kryzys za kryzysem* a narodowy socjalizm wykluwał się dopiero z jajka. Były więc ramy prawne, dobra koniunktura międzynarodowa i całkowita *tabula rasa* na odcinku naszej działalności inwestycyjnej i żeglugowej na wybrzeżu.

I wówczas to postawiono na — Gdynię. W tym kierunku popłynął nurt inicjatywy rządu i społeczeństwa. W tym również kierunku zostały skoncentrowane wysiłki, uwieńczone wspaniałym rezultatem w zakresie rozmachu, tempa i przedsiębiorczości.

Ale ten potężny prąd ekspansji *ominął Gdańsk*. Uprawnienia nie zostały wykorzystane, nie wyczerpano możliwości. Ujście Wisły przestało frapować umysły, wyobraźnia Polaków przylgnęła do Gdyni, Pucka, Oksywia i Władysławowa. A potym *koniunktura odwróciła się na 180 stopni*. Więzy między Gdańskiem a Rzeszą, chwilowo rozluźnione, zadzierżgnęły się znów mocno, narodowy socjalizm został panem sytuacji, serwituty osiadły na papierze.

Dzisiaj Wolne Miasto jest już tylko fragmentem obszaru panowania swastyki. Argumenty prawne i gospodarcze nie mają znaczenia. Artykuł 104 Traktatu Wersalskiego jest teoretycznym przyczynkiem do ciekawych instytucyj prawa międzynarodowego.

I kiedy się to wszystko sobie dokładnie uprzytomni, trudno jest powstrzymać cisnące się na usta pytanie: *czy tak musiało być?* Czy to, co jest dzisiaj, musiało się stać? Czy ominięcie Gdańska przez główny prąd naszej ekspansji było wykonaniem wyroku historii, czy też rezultatem gry jakichś sił i woli jakichś czynników decyzji?

Jest to, rzecz prosta, retoryczne pytanie. Odpowiedź znajdzie się dopiero wtedy, gdy kiedyś tam w przyszłości epoka nasza będzie przedmiotem beznamiętnych, skrupulatnych badań naukowo - retrospektywnych.

* * *

Z dotychczasowych rozważań chcemy wyciągnąć tylko *jeden*, jedyny wniosek. Są integralne ziemie Rzeczypospolitej, na których, do niedawna przynajmniej, można było ze zdumieniem obserwować proces o d w r o t u p o l s k o ś c i i uderzający brak woli, aby pozostały one polskimi. T u f a b r y k o w a n o w o ł y ń s k ą „U k r a i n ę", tam klecono siczowy „Piemont", ówdzie lansowano problemy białoruskie czy litewskie. Różnym panom interesy Polski nie wystarczały.

W państwie, pretendującym do mocarstwowości działy się dziwne rzeczy, które trzeba położyć na łączny karb indolencji, abnegacji ignorancji a niekiedy i fanfaronady.

G d a ń s k i W o ł y ń — tereny które wołały o ekspansję polskości, — pozostaną na zawsze symbolem tej dziwnej a b e r a c j i m y ś l i p o l i t y c z n e j, przez którą sądzone nam było przebrnąć.

Chwała Bogu, ten front defensywy i rejterady wykrusza się i murszeje. Aktywna postawa Narodu bierze górę. Zaczynamy chcieć zwycięstwa i, co zatym idzie, atakować. Dlatego właśnie refleksje na temat Gdańska są na czasie i stanowią materiał porównawczy a nader pouczający.

Bowiem najwyższy już czas mocno i zdecydowanie żądać polskiej ekspansji na wszystkich odcinkach walki o nasz stan posiadania i tę wolę konsekwentnie a twardo w czyn wprowadzać.

Dziś bardziej, niż kiedykolwiek bądź. Dziś, kiedy miarowy krok niemieckich oddziałów opiekuńczych *tak wyraźnie słychać* wśród martwej ciszy na ziemiach Czech, Moraw i Słowacji.

Ludomir Skórewicz

NA SMUTNO I NA WESOŁO

Zamienił stryjek...

Z powodu utraty niepewnej granicy z Czecho-Słowacją i otrzymania wzamian granicy z... Niemco-Słowacją:

W głowie się kłębi wniosków sto,
Biegają myśli zwinne:
Lepsze już było status quo
Niż z deszczu iść pod rynnę!

Pan Strońć o polityce

Podczas ostatniego podwieczorku przy mikrofonie p. radca Strońć wygłosił monolog o polityce zagranicznej, z którego przytaczamy parę wyjątków:

...Jaka tu może być wojna, kiedy n i e m a n i e p r z y j a c i e l a? Dawniej to wiadomo było kto nieprzyjaciel, a dzisiaj to my z e w s z y s t k i m i j e s t e ś m y p r z e c i e ż w p r z y j a ź n i...

...Niemcy uważają całą ludzkość za jedną brać: b r a ć i n i e p y t a ć...

...W jednej kawiarni usiadł raz sobie ojciec z synem. Raptem podchodzi jakiś drab i bęc syna w mordę. Ojciec na to wstaje i mówi: „Proszę Pana! Jak Pan raz jeszcze sobie na coś podobnego pozwoli, to będzie pan miał ze mną do czynienia!". Drab bęc syna po raz drugi! Ojciec poprawia na sobie tużurek i mówi z oburzeniem: „Jeśli Pan raz jeszcze ośmieli się uderzyć mego syna, to tym razem napewno zrobię z Pana marmeladę!". Drab bęc po raz trzeci i tak dalej. Za piątym razem ojciec wkłada kapelusz i mówi: „Choć synku, nie warto się z tym chamem zadawać"...

Pan radca Strońć dopatruje się w tym pewnej analogii z pewnymi wypadkami...

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Złota 35 m. 31. KONTO PKO. 23.511.
PRENUMERATA: rocznie 3 zł., półrocznie 1,50.

Wydawca i Redaktor: Witold Ipohorski-Lenkiewicz

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.